ROZMAITOŚCI.

Dnia 26. Marca **Nr 13.** Roku 1842.

MULLA-NUR

PRZEZ

MARLIŃSKIEGO.

Czarne chmury zakryły błękit nieba, i jak bałwany śród burzy na morzu, tak w gęstych kłębach przewalały się nad pasmem gór kaukazkich. Tylko wierzchołek lodowca *Szach-dagh* (królewska góra), olśniony promieniem słońca, przyświécał téj ciemności burzy, nito duch wieszcza, lub krater wulkanu. W prawo i w lewo, jak głowy olbrzymów wznoszą się gór szczyty, i jak fale powodzi, które Bóg spiętrzył w straszny dzień potopu, tak szczyt za szczytem, wyżéj i wyżéj gubi się w chmurnéj oddali. Czasami zdaje się, że w walce żywiołów gwałtownie ruszają się te szczyty, zakręcą się młynka, jeden w pędzie uderza o drugi, druzgoce go i z straszliwym łoskotem trąca w przepaść. Teraz lunął dészcz nawalny, i pędząc chmury przed sobą, nas dogania. Jak o skały łamiąca się rzéka, huczy i bałwani się powódź po drodze. Całe niebo się wylało i zatapia ziemię... tu nié ma ułudy... jeszcze chwila, a zginiemy w powodzi...

Dzięki niebu! wąwoz za nami, już po suchéj jedziemy równinie. Konie parskają, para z nich bucha, niechże teraz sobie wypoczną.

Chętnie pod gołém niebem przysłuchuję się burzy. Walka przyrody niemniéj mnie bawi, jak walka z własną namiętnością; radośnie przeto robię znak krzyża, witając piérwszy huk grzmotu. Mnie wtenczas tak lekko na sercu, jestem wesół, umysł mam pogodny, i z rozkoszą połykam piérwsze krople dészczu. O, w burzy jest coś pokrewnego ludziom! Gdy pogoda, drzymie ptak łodownik; lecz skoro zaczyna burzyć się morze, on się budzi, rozpościéra skrzydła, z krzykiem radośnym uderza w powietrze i bijąc piersią o wodę, całuje grające fale. Tak czyni duch mój. Od młodości lubię wichry i burze, i zawsze chętniéj słuchałem grzmotu niż śpiéwu słowika, chętniéj w błyskawicę niż w tęczę patrzyłem. Gdy każdy szukał schronienia, ja godzinami przechadzałem się śród nawalnéj ulewy, podsłuchując kłótnię wiatrów i chmur, lub stałem w milczeniu, aby zachować w pamięci dziwne zygzaki, które na czarném tle obłoku szybkością myśli pisała błyskawica.

Patrzcie! na zachodzie niebo się roztwiéra, pojedyncze promienie jak ogniste strzały archaniołów, padają na ziemię, a w około grają jeszcze ciężarne chmury; wiatr dzieli je na kłęby, i lub roztacza w różne strony, lub rozbija w grube krople dészczu.

Po chwili wszystko ucicha, dészcz nie pada, wiatr ustaje, nito z bojaźni. W tem nagle nad naszémi głowami straszliwie zabłyśnie, a o dwadzieścia kroków przedemną uderza piorun! Gdyby rażone stają konie, przelękniony, rękoma zakrywam oczy. Dopiéro po chwili ośmiélam się odjąć rece, i widzę wszystko nietknięte. Tylko o podal w czarnych bałwanach dymi się dąb rozdarty, a ziemia w drżeniu oczekuje dalszych grzmotów. Lwią namiętnością niebo miłuje ziemię, jego całus, niszczący piorun, rozbija skały i topi ziemię jak wosk. Lecz czyliż każda wielka i silna miłość na ziemi nie taka?... Tylko że słaba ziemia nie może znieść płomieni nieba. Piorun stapia dyjamenty, a czucie, które uderza piorunem, równa się temu czuciu, co takie uderzenie

w siebie przyjmuje. Gdy się zetkną, nie giną obadwa, choć tracą byt samodzielny, ale w jednę spływają się duszę. Piorun rozdziéra chmury, z których zrodzony, i skałę na którą pada, a gawiedź mówi, że śmierć i zniszczenie wszędzie mu towarzyszą. Lecz aby w tém dziele odgadnąć wielką myśl przyrody, potrzeba równie wielkiéj myśli. A gdzież myśl na ziemi, coby pojęła dwa wielkie czucia, które się w jedno zlały?

Śmiałkowi, utrzymującemu, że burze nie mają celu, a z śmierci przyrody nie powstaje nowe życie, niech odpowié powódź na Nilu lub pożar Moskwy. Chociaż natura w strasznéj godzinie jakiéj katastrofy, zamieni w pustynię całą okolicę, to ta przemiana dla niéj jest czyścem, dla człowieka nauką! Precz więc z pamięci, co się stało, teraźniejszość jest czyścową ofiarą, my wiémy tylko o jedném życiu, a Bóg nas do innego przeznaczył. Jeden krok, a jesteśmy w wieczności. Czyliż w odkryciu Herkulanum, téj mumii, zachowanéj pod lawą, nie poznajecie boskiéj ręki? Prawa i żywioły grożą zbrodniarzom. A cóżby się stało, gdyby w każdéj chwili morze nie groziło im zalaniem, a trzęsienie ziemi zapadnięciem? Gdyby miecz śmierci nie wisiał zawsze nad ich głowami, a oni nie stąpali po grobach?

Wszystko ucichło. Rozrzucone krople dészczu wisiały w powietrzu. Chmury błąkały się tu i owdzie, jak rozdarte chorągwie po bitwie. W dali ginął coraz więcéj huk grzmotu, a skalisty wąwoz powtarzał jeszcze ostatnie jęki konającego wiatru. Na niebie zajaśniało słońce, to dziécię burzy, i tęcza, kolébka dziécięcia. Lecz gdzież się podziała burza?... Wszak mówiłem, że wszystko co piękne, jest zgubném dla łona, które go na świat wydało. Patrzcie na tego dęba — korzeniami rozdziéra ziemię; gdy był zarodem w żołędzi, ziemia pielęgnowała go z miłością. Narodzenie Cezara było wyrokiem śmierci dla matki. Aby życiem głaz natchnąć, potrzeba poświęcić życie. Własnego twórcę myśl zabija światłem, uczucie pali ogniem. Ale kto nową, wielką myśl lub czyn użyteczny pozostawia ludzkości, ten nie umiéra bezdzietny, ten jest nieśmiertelny!

* * *

»Dokąd prowadzisz?« zawołałem na przewodnika, postrzegłszy, iż na prawo zwraca.

»Na góry!« odparł żywo, z ust nie wyjmując lulki. »Rzéka wezbrała, lepiéj objechać ją górami, niźli czekać, za nim woda zbiegnie.«

»Na góry nie pojadę, i czekać nie będę, jedź do przesmyku Tengin.« Od stóp do głowy zmierzył mnie Tatar oczyma, i ruszył ramionami, poczém rzekłszy niechętnie — »Niech się dzieje wola wasza«, zwrócił na lewo.

Przebywszy las nagi, stanęliśmy wkrótce nad brzegami rzéki. Woda przerzynająca się pomiędzy skały, huczała straszliwie; z przeciw-ległego brzegu wilgotne zimno owiało twarze nasze; wjechaliśmy w ciemny wąwóz. Spojrzałem w górę, a nim oko zdołało spocząć na szczycie skały, czapka spadła mi z głowy; spojrzałem w dół, a zimna dreszcz mnie przejęła; u stóp moich płynął wezbrany górzysty potok.

Te olbrzymie głazy przejmowały mnie trwogą. Zdawało mi się, że runą, że już się chwieją. Okropnie wre i huczy rzéka Tenga, a jéj bałwany bijąc w sterczące skały, bieleją się, jak kły zażartego źwiérza. Wilgotny i ciemny wąwóz wydaje się otwartym grobem, a przecież jak każda przepaść ma jakiś urok w sobie. Niezbadane są tajnie ducha naszego! Gdy stoimy nad przepaścią, któréj dna dojrzéć nie możem, obok obawy śmierci, budzi się w nas jakaś tajemna mimowolna chęć rzucenia się w głębią, dla zbadania, co się w niéj na dnie kryje!

»Czapar, jedź naprzód i wskaż bród rzéki. Już noc zapada i nié ma czasu do namysłu.«

»Tego nie uczynię Ago*) mam zakaz od starosty. Jego woli przestąpić nie śmiém. Jeźli utoniesz, nie ty, ale ja będę odpowiadać za ciebie. Przez taką wrzącą powódź, i do mołodycy nie szukałbym drogi.«

Pokazałem mu dukata.

»Pogroź mi kulą, a przecież nie pójdę. Milsze mi życie. Patrz na skały, jak z nich pienią się strumienie, a rzéka się wzdyma!«

»Słuchaj przyjacielu, kiedy nie chcesz jechać naprzód, obaczymy, czy pojedziesz za mną.«—I dałem koniowi bodźca; ale łatwiéj było dotrzéć do rzéki, niźli z wysokiego

*) Tak nazywają Tatarzy każdego wyższego od siebie.

brzegu skoczyć i puścić się w pław przez rwące jéj fale. Koń mój, jak gdyby także pamiętny zakazu starosty, nie miał ochoty skąpać się w Tendze. Kilka razów nahajką skłoniło go do skoczenia w wodę, ale dalej i krokiem postąpić nie chciał. Z wyciągnionémi przedniémi nogami, zanurzony po piers w wodę, znosił z zimną krwią stoika, żem go kłół bez litości ostrém, tureckiém strzemieniem i okładał boki perską w sześć rzemion plecioną nahajką, klnąc przytém we wszystkich gockich i semickich narzeczach. Zniecierpliwiony spiąłem tak gwałtownie konia, aż parsknąwszy, poskoczył z wszystkich sił naprzód. W ponurém milczeniu ruszyli za mną moi ludzie i tatarscy przewodnicy, długim sznurem jak wędrowne ptaki.

Ledwiem na pięć kroków koniem wodę przebrnął, aż tu nieznajomy jeździec cały uzbrojony, chwyta konia za wodze. Dotąd nie wiém, z kąd się zjawił i dla czegom go piérwéj nie spostrzegł. Czy z po-za skały wyskoczył, czy mnie wyprzedził lub téż z przeciwnéj strony nadjechał, powiedzieć nie umiém. Tyle pamiętam, iż gdy zdziwiony wpatruję się w niego, on w męzkiéj postawie, na dzielnym siedział koniu. Erywański, w tył zarzucony papach, odsłonił twarz ogorzałą ale zajmującą, z krótką czarną brodą. Wzrost mierny, barki szérokie, budowa ciała silna. Z pod czuchy lśnił się pancérz pozłocisty. Oprócz strzelby u boku, miał krótki sztuciec na plecach. Jeden pistolet z sztyletem u pasa, a dwa inne w olstrach, pancerz spadał aż na ramiona, a rękę okrywała żelazna rękawica.

»Achilsys mi zen?« (Czyś szalony?) zawołał na mnie, trzymając jeszcze konia za wodze.

Pierścień żelazny*), oparłem niewidocznie o kurek u pistoletu. Stanąłem w strzemionach, aby zuchwalca od stóp do głowy zmierzyć oczyma. Nagły gniew odjął mi mowę. Jeździec zdawał się nie uważać ani na pistolet, ani na gniéw mój, spokojnie zawrócił i odprowadził mnie z koniem do brzegu. Potém zsiadłszy, oddał swego wierzchowca mojemu przewodnikowi, a zbliżając się do mnie przemówił po przyjacielsku: »Nie gniewaj się Ago, com uczynił było jedynie dla ocalenia życia twego. Od deszczu i śniegu wezbrała straszliwie rzéka, w téj chwili zbrodzić jéj nie można. Jestem mieszkańcem tych skał, a twój koń nie zna tak dobrze żłobu, jak mój te wąwozy. Jednak chcąc ujść pewnéj śmierci, zaledwie odważyłem się przebywać tę skalistą okolicę wzdłuż rzéki Tengi. Zatrzymaj się tu ze dwie godzin, aż woda opadnie, a ja sam będę ci przewodniczył.«

Tymczasem mój przewodnik pochwaliwszy czyn nieznajomego poradnika, spętał konia i puścił na paszę. Ja nie obawiając się więcéj ani napadu, ani obrazy, spuściłem odwiedziony kurek i z-siadłem z konia. Zarzuciwszy burkę na plecy, wskazałem ręką nieznajomemu, aby przy mnie usiadł.— »Co robić«, rzekłem, zakładając na krzyż nogi, »muszę tu zostać, nie spodziéwałem się, iż Tenga swoich gości pochłonąć lubi.«

Gorzki uśmiéch przemknął się po licach mego nieznajomego.

»Jestem góralem Ago i myślę, że lepiéj człowieka bogdaj za brodę z wody wyciągnąć, niżli go w nią wtrącić. Persowie każą dla swych żon ozłacać migdały, toż samo ony czynią z sztyletami swych mężów. Ale góral podaje drugiemu chociaż nie malowaną*) lecz przyjazną rękę. Nie płaszczy się on piérwéj przed nieprzyjacielem na to, aby go póżniéj mógł tém łatwiéj przeszyć. Jeźli moja niegrzeczność nie dała ci utonąć, więc nie gniewaj się na mnie. Z Rossyjanami mało żyję, a jeźlim kiedy znał ich język, tom go już dawno zapomniał.«

Dziwne powstały we mnie myśli, to spotkanie, ten układ, ta mowa.....

»Twoje imię?« spytałem szybko. Nieznajomy właśnie krzesał ognia do lulki.

»Moje imię«**), rzekł po chwili, »nié mam żadnego. Chciałbym, aby moje imię jak huk dział śród bitwy, szérzyło wszędzie postrach i trwogę, aby za wymówieniem mego imienia, jak na głos anioła śmierci, zadrżał łotr każdy! By spełnić to życzenie, nie brak mi

*) W Dagestanie noszą na wielkim palcu u prawéj ręki pierścień żelazny, aby łatwiéj odciągać ciężkie azyjatyckie strzelby.

*) Na Wschodzie wszyscy znakomitsi malują *Quinquina* końce palców u rąk.

**) Tatarskie *Ad*, ma równie jak u nas: *imię*, dwojakie znaczenie: *nazwa*, *sława*.

*

woli lecz siły. Zamiast coby mnie nazywano spaniałomyślnym, sprawiedliwym, *zwycięzcą* Mulla-Nur, zwą mnie teraz *rozbójnikiem Mulla-Nur!*«

»Tyś Mulla-Nur?« krzyknąłem zrzuciwszy burkę i chwyciwszy za jatagan.

Różne myśli zawrzały w mój głowie. Pojmać go i zabić?... on sam a nas kilku... ale któż mi dał prawo bezbronnego mordować? Jakże podnieść broń na tego, który mnie ocalił?.....

Mulla-Nur patrzył na mnie zimno z wlepionémi oczyma, jak gdyby zgadł moje wahanie się. Położył lulkę na ziemi i klasnął dwa razy w dłoń. Gdym za wzrokiem jego powiódł oczyma, postrzegłem więcéj niż dziesięć luf, z pomiędzy skał i drzew, w moją wymierzonych głowę. Moi towarzysze okryci burkami, już byli posnęli... zadrzałem.....

»To«, rzekł z uśmiéchem »niech cię przekona, że się nié mam czego obawiać.« Klasnął i strzelby znikły, »A to znakiem, żeś ty bezpieczny. Zawszem w to wierzył, że najmocniejszą koszulą jest pancerz, a najmiększą poduszką pistolety. Nie widzę jeszcze powodów do odstąpienia od moich zasad: Mało zaufać i być ostrożnym. Jeźli mam kiedy polédz zdradą, nie moja łatwowierność mnie zgubi. Nie znam cię z widzenia i twoje imię jest mi obce, ale pamiętam wszystko, co o tobie opowiadano, i poznałem twoję duszę. Byłem wczoraj w Kubie, i dowiedziałem się, iż masz wkrótce udać się do Szamachy; czekałem tu na ciebie. Jesteś gościem moim, i rad cię tu witam, chociaż pomimo twéj woli.«

Klasnął trzy razy i wnet zeszedł do nas ze skał bardzo dobrze ubrany młody Tatar. Miał szubkę z pięknych kun, i czuchę z szérokiémi galonami. Sprzączki świécące u szérokich rzemion, na których wisiała ładownica i róg z prochem. Mulla-Nur przychylnie nań poglądał, a gdy młodzieniec rozesłał serwetę i na niéj postawił chléb, sér i kilka jabłek, zaprosił mnie skinieniem do podwieczorku.

»Przyjm Ago, nie gardź niczyim chlebem, to dar Ałły, nie człowieka, a dzieląc go ze mną, winieneś mi odpłacić przyjaźnią. Tym samym sztyletem, którym chléb krajesz, możesz przebić serce moje, a ja, jeźli twój obowiązek tego żąda, złorzeczyć ci nie będę. O, Ałłah! Ałłah! Choć jedna pierś nas żywi, my się przecież zabijamy! Lecz ja żądam przyjaźni od obcego przeto, iż z jednego chleba ze mną pożywał.«

»Niech nam będzie na zdrowie«, odpowiedziałem, łamiąc chléb.

Co chwila rosła moja ciekawość poznania tego człowieka, przypatrzenia się z-blizka dzikiemu, niesfornemu duchowi, który wszystkie węzły towarzyskie potargał, i namiętnościom puścił wodze.

Nie każdemu zdarzy się taka sposobność, nie każdy użyć jéj umié.

»Wiész ty Mulla-Nur, że ja od dawna chciałem szukać ciebie, aby się tobie przypatrzyć. Teraz rad jestem zdarzeniu, które nas sprowadziło.«

»Tylko przypatrzyć mi się chciałeś jako ułaskawionemu tygrysowi? Tak czyni wielu twoich rodaków. Ha! to mój los! jedni stronią odemnie z bojaźni, drudzy chcą mnie widzieć przez ciekawość, a nikt nie przyjdzie pożałować mnie lub pocieszyć! Lecz litość i pociecha są znośne tylko z ust przyjaciela. Nie żądam ich od ciebie, nie chcę — Przebacz! w samotném oddaleniu od towarzystwa, Bóg wié z kąd się rodzą dziwne fantazyje, osobliwsze myśli, które jak liść jesienny z drzewa padają na tego, kto się przybliży.«

Widocznie był Mulla-Nur mocno wzruszony. Pochylił głowę, potém rzucił na mnie wzrok weselszy i zaczął mówić o czém inném.

»Wyglądasz na dobrego jeźdzca i masz pewnie broń dobrą.« Tu w roztargnieniu wyciągnął rękę do mojego pistoletu, który miałem za pasem.

Jużeśmy byli strzelby pozdejmowali z siebie, i o drzewa oparli według zwyczaju azyjatyckiego. Podać rozbójnikowi pistolet, byłoto powierzyć życie moje jego dzikiéj woli. Prócz kilku słów, w których mi przyjaźń swoją ofiarował, nic nie ręczyło za jego uczciwość i dobrą wiarę. Ozdobny w złoto pistolet, był rzeczą dla niego wielce łakomą. Wiedziałem, że najmniéj chciwy mieszkaniec Azyi, na nic innego się nie złakomi,

a nie oprze się pokusie, którą piękna broń w nim nieci. Wiedziałem, że w Kaukazie nieraz krew płynie o broń, że za broń płacą dobrami albo całémi stadami, lecz okazać mu nieufność, byłobyto wydać się z bojaźnią. Wyjąłem pistolet z-za pasa i podałem mu.

Nie wątpię, że z ciekawości jedynie chciał widzieć mój pistolet, ale gdy go miał w ręku, postrzegł, iż byłem bezbronny, przeto umyślnie zwlékał oddanie. Kilkakrotnie odwodził kurek, mierząc do mnie i spuszczał, a wzrok jego był ponury i groźny, ale najbystrzejsze oko nie byłoby docielkło, co się działo w mojéj duszy. Spokojnie paliłem lulkę. Nikt tak nie ceni odwagi i zaufania jak Azyjanin. Gdy mi Mulla-Nur oddawał pistolet, z dziecinną go obejrzawszy radością, zaiskrzyły się jego oczy, i rzekł: »Cudowna broń, stal i nabijanie kosztowne, ale w twojém ręku dopiéro staje się bezcenną.«—»Co najlepszego jeszcze nie widziałeś«, odpowiedziałem, »oto panewkę ze sprężyną. Nowe to odkrycie, które zrobiono w Kubie.« Wytłumaczyłem mu tajemnicę, która go mocno zajęła. Zamykał i otwiérał, aby pojął dokładnie.— Azyjanin rozum traci, gdy broń nową do rąk weźmie.

Zadziwiła go potém moja strzelba perkusyjna. Strzał bez skałki był dla niego cudem. Ale mu lepiéj się podobała moja azyjatycka strzelba ze złotémi obrączkami. »To co innego«, mówił z uśmiechem, »to lekkie i wygodne do konia — a jaka kolba!«

Spróbowawszy ostrza mojego sztyletu na paznokciu, uderzył weń dwakroć i z miną znawcy przykładając do ucha, z upodobaniem przemówił: »Bazalaj—prawdziwy Bazalaj! Czy znany ci zabawny przypadek, który się Bazalajowi w Derbencie wydarzył? Przechadzał się raz po bazarze, gdy oto słyszy człowieka obwołującego na całe gardło: »Sztylety! sztylety! Bazalaja sztylety!« Chciwi je nabyć, zbiégali się gromadnie. Bazalaj, który był blizko, przystąpił także. Nikt go nie znał. Ale rozgniewany, że lada kowal śmié jego imię przybiérać, dobył swego sztyletu, i dwanaście brzeszczotów jeden po drugim, jak łojowe świéce od razu rozciąwszy, zawstydzonemu oszustowi w oczy cisnął. Jego brzeszczot był bez ceny; ale i twój dobry i podoba mi się! — Kto dłużéj z Azyjanami przestawał, ten zrozumié taką pochwałę. Wyjąłem sztylet z-za pasa i kładąc rękę prawą na sercu, lewą mu go podałem. —»*Peszkeszzam!*« (Przyjm w darze), rzekłem. Mulla-Nur był niewyczerpany w dziękczynienia.

»Codzień będzie mi przypominał dawcę, aleź pozwól niech i ja się tobie oddaruję. Mój sztylet nié ma tak pięknie wypisanych modlitw, ale żadne modlitwy i napisy nie uchronią od pchnięcia sztyletu, który ci ofiaruję.«

Położył rubla na pniu i jednym razem rozciął go na dwoje. Pewniem na zamianie nic nie stracił, bo posiadanie broni po tak sławnym rozbójniku, potrzeba także za coś policzyć. Tu Mulla-Nur z głębokiém westchnieniem zdjął strzelbę z drzewa mówiąc:

»Oto jest przyczyna moich nieszczęść i moich zbrodni. Mam ją od ojca jako święty skarb rodzinny, i zawsze ona dla mnie świętą będzie.« — Zdawał się na nowo nabiérać życia. Poglądając na nią, głaskał ręką połysną damasceńską lufę i złożył się. Za rzéką skakał po wielkim, białym kamieniu mały szary ptaszek. Mulla-Nur wymierzył, błysnęło, a ptaszek upadł. Radośnem rzucił na mnie okiem i nabijając powtórnie, mówił ze wzruszeniem:

»Tak, ta strzelba jest droższa niż krew, którą za nią dotąd przelano. Nie jeden przepłacił ją życiem, ja więcéj jak życiem, bo szczęściem, więcéj jak szczęściem, bo ojczyzną!«

Ze spółczuciem patrzyłem na niego. Ostatnie słowa były pełne głębokiego żalu, tego żalu, który się dobywa z głębi serca, jak przytłumiony ryk lwa z zasypanéj jaskini. Gwałtowne uczucia wrzały w jego sercu, zapalały wzrok, odbiły się w twarzy.

»Czy to tajemnica, Mulla-Nur?« spytałem.

»Jedyną tajemnicą w świecie jest serce nasze. Noc, która zakrywa zbrodnię, wyciéra się w dzień jasny, ciemny bór ją zdradza. Przepaści morskie zwracają łupy, które w nich zatopili zbójcy. I grób nie ukryje występku, na mścicieli, wylęgnie robactwo. Widziałem jak Moskale z wnętrzności źwiérząt odgadywali przeszłość, podobnie jak niegdyś przodkowie nasi przyszłość wróżyli.

Każda tajemnica na jaw wyjdzie, i często brzmi głośno w bazarze, co w cichości było szeptane. Nie, moje życie nie jest tajemnicą. Moje występki i przygody każde chłopię w Kubie ci opowie: *Mulla-Nur zabił stryja i uciekł w góry.* To są moje dzieje nie zmyślone a wszystko obejmujące. Każdy, co te słowa usłyszy, czyżby mnie słusznie nie potępił? Jednak na to ja tylko jeden odpowiedzieć umiém. Gdyby mi głowę ucięto, czy znajdzie w niéj sędzia, coby wyjaśniło moją zbrodnię? Gdyby mi z piersi wydarto serce, czy lékarz dójdzie w niém powodów, które mnie do czynu przywiodły? A te właśnie wszystko stanowią, te trzeba sumiennie ocenić, nad resztą panuje przygoda! Przykro mi o tém myśléć, a jeszcze przykréj opowiadać. Nie można bez bolu wyciągnąć strzały z rany, a przecie niepodobna ją tam zostawić.«

Opuścił głowę na piersi i odetchnął głęboko. Patrzyłem nań z cichém wzruszeniem, i nie chciałem przez niewczesne pytania, podżegać płomieni w jego duszy. Zerwał się nakoniec, jakby z głębokiego snu obudzony, obejrzał się, wstrząsnął głową i mówił, zwracając na mnie czarne, pełne wyrazu oczy:

»Otworzę ci moje serce, opowiém wszystko.« — I począł opisywać główne przygody swojego życia. Z-razu mowa jego była do mnie zwróconą. Ale gdy w ciągu opowiadania się uniósł, i w uniesieniu zapomniał się, przeszło opowiadanie w skargę, w spowiedź, w rozmowę z samym sobą, w któréj zdawał się zapominać, że ma słuchacza. — Czy on czuł gwałtowną potrzebę ulżenia sercu przegorzałemu namiętnościami? Czemuż się usprawiedliwiał? Jestto hołd poniewolny, ale święty, który prześladowany niewinnie, równie jak i zakamieniały zbrodzień, składa duchowi ludzkości.

Nie wiém, czybym opowiadanie jego zdołał powtórzyć dokładnie i w całéj sile. Być może, żem nie wszystko zrozumiał i wiele zapomniał. Niepodobna oddać całéj prawdy uczuć, które z ognistéj płynęły duszy. I jakże opisać tę wzniosłą, malowniczą naturę, śród któréj byliśmy z sobą?

Rzéka tymczasem opadła.

Ostatnie Requiem Mozarta.

Wielki ten kompozytor — opowiada *Gazette musicale* — w ostatnim czasie swego życia, dostał prawie pomieszania zmysłów; pobudką do tego, jak wnoszono, była jego opera: *Don Juan.* Mozart widział ciągle przed oczyma czarta, który występnego *Don Juana* do piekła zabiérał. Nie mógł się pozbyć tego widma, i nie mógł sobie przebaczyć, że zmarłego komandora potęgą tonów z grobu wywiódł i na scenę wyprowadził. »Za to świętokradztwo czeka mnie nieszczęście«, mawiał często i stawał się coraz posępniejszym. »Niezadługo przyjdą po mnie i każą ten świat opuścić!« — Jednego wieczora wszedł do jego pokoju jakiś czarno-ubrany cudzoziemiec; postawa jego była dumna, twarz surowa. Coś miał niemiłego w sobie.

»Nie chciałbyś mi panie artysto, *Requiem* napisać?« zapytał.

»*Requiem?* Dla kogo?«

»Cóż cię to obchodzi? Pewna osoba wkrótce umrze, a więc potrzebne jest *Requiem;* powiedz, ile za nie żądasz, i jak długiego potrzebujesz czasu.«

»Sto dukatów i cztéry tygodnie czasu«, odrzekł Mozart blady i przelękniony.

Cudzoziemiec nie rzekłszy ani słowa, rzucił mu sto dukatów, i oddalił się z pokoju.

Mozart chociaż niespokojny i w słabowitym stanie zdrowia, wziął się wkrótce do pracy. *Requiem* to, było jego ostatniém pożegnaniem z tym światem; zdało się mu, że ten śpiéw grobowy pisał na swój pogrzéb.

Cudzoziemiec przyszedł w czas naznaczony; *Requiem* jeszcze nie było skończone.

Jeżli potrzeba dłuższego czasu, drugich cztéry tygodni«, rzekł do chorego artysty, »nie mam nic przeciwko temu, i zostawiam mu jeszcze piećdziesiąt czerwonych złotych jako należne wynagrodzenie.«

To rzekłszy tajemniczy cudzodziemiec, wyszedł z pokoju.

»Chłopcze, bież za nim«, rzekł Mozart wlepiwszy w drzwi oczy, »i pytaj kto on? jak się zowie.« — Służący pospieszył za cudzoziemcem, ale go już nie ujrzał.

»Byłto zapewne szatan w postaci człowieka«, rzekł Mozart, »który mnie porwać zamyślił. Połóż na bok te sto piećdziesiąt sztuk złota, są to pieniądze od złego ducha, zadatek po-zagrobowy, rozdaj je pomiędzy ubogich.«

Requiem skończył pośród modłów do Boga, pośród łez i przemowy do złego ducha, który się mu nieustannie w jego osłabionym umyśle przywidywał.

W cztéry tygodnie póżniéj przyszedł cudzoziemiec, *Requiem* było skończone, a Mozart — w grobie.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 12. i obejmuje: 1) O marglowaniu roli. (Ciąg dalszy). 2) O potrzebie ważenia a nie mierzenia zboża i kartofli tak w handlu jako téż w potrzebach domowych. 3) O tuczeniu cielat. 4) O gorzelnictwie krajowém.

W Warszawie wyszedł z druku: *Przewodnik lekarski dla mężczyzn*, podług dzieł Hufelanda, Brauna, Albrechta i innych, ułożony przez p. Rosenbluma, lekarza praktykującego w Warszawie.

Tamże wyjdzie wkrótce powieść w dwóch tomach przez Stanisława Dolińskiego, pod tytułem: *Pobyt Krzyżowców sławiańskich w Palestynie, czyli: Mirosław i Wiesława.* Rzecz wzięta z dziejów wyprawy Henryka, książęcia lubelskiego, podczas trzeciéj krucyjaty do Palestyny.

Ogłoszono projekt wydawania pisma peryjodycznego, pod tytułem: *Kronika przemysłowości sławiańskiej, czyli: Zbiór najnowszych postrzeżeń wypadków i pomysłów tyczących się:* Postępu i zasad rolnictwa, leśnictwa, górnictwa, handlu, przemysłu, sztuk, rzemiosł, wynalazków, odkryć, przedsiębierstw, zakładów fabrycznych, banków, stowarzyszeń, finansów, spekulacyi, zgoła wszelkich działań, nauk i umiejętności czynnie wpływających na utworzenie materyjalnéj korzyści, oraz na samodzielny wzrost bogactwa narodowego.

Ks. Kajetan Kamieński, ex-prowincyjał zgromadzenia księży Pijarów, były rektor konwiktu na Żaliborzu, ozdobiony orderem św. Stanisława od Jego ces. król. Mości Aleksandra I.; zakończył dnia 4go marca w Warszawie, śród modłów swoich braci życie, pełne zasług i chwały; bogobojny, pracowity i przykładny kapłan. Był on członkiem komisyi edukacyjnej i do ułożenia książek elementarnych; członkiem król. warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk; autorem wielu pism; spółpracownikiem słownika przez Lindego wydanego, a mężem pod wielu względami literaturze i krajowi zasłużonym. Żył lat 84 i miesięcy dwa. Rodzice tego ś. p. księdza Kamieńskiego mieszkali w Galicyi. *A...*

Z Wilna: Nasze prasy drukarskie nie ustają w swéj działalności. W ciągu tego roku ukaże się mnóstwo dzieł nowych. Między innémi, u Glücksberga mają wyjść niezawodnie: Hr. Rzewuskiego, romans ze średnich wieków pod nazwą: *Listopad.* — St. Aug. Lachowicza: *Pamiętniki do dziejów polskich*, tom piérwszy, zawiérający listy oryginalne Zygmunta Augusta do Mikołaja Radziwiłła Czarnego i do innych. Znaczną część ich ukończono już drukować; i podobno załączone będą przy nich portrety i *facsimila.* O staranność wydania możemy być spokojni i pewni, gdyż przyjął je pod swoję opiekę uczony M. Malinowski. — Daléj wyjdzie nowe dzieło F. Bochwica: *Zasady myśli i uczuć moich.* — John'a of Dycalp: *Przeczucie*, komedyjka we trzech aktach. — Szymona Konopackiego: *Święty Stanisław.* — Także miła bardzo powieść, pod tytułem: *Kirgiz*, przez G. Z. — Dla wielu interesujące dzieło: *Proces cywilny w Państwie rossyjskiém*, i kilka innych. — U Zawadzkich drukuje się drugie wydanie: *Witoloraudy*, przerobionej przez autora. — Wyszły tam także: *Studia literackie*, o których musicie już tam wiedzieć. *(Tyg. Pet.)*

Mowa źwiérząt. Francuzki akademik Bory de St. Vincent, wydał książkę o instynkcie i zwyczajach źwiérząt, która stanowi pewną część wychodzącéj w Paryżu biblijoteki dla ludu, i w nagrodę pomiędzy pilnych uczniów rozdawana bywa. Autor ten utrzymuje, że źwiérzęta prócz instynktu, mają także intelligencyję, chociaż nie w tak wysokim stopniu jak człowiek: gdyż sztuka sukna mająca pół łokcia, również jest suknem jak sztuka o trzystu łokciach: i nie masz żadnéj wątpliwości, że psy mają dowcip, słonie rozwagę, pantery tkliwość, a jaskółki wyobraźność. Podonież i kruk jest ptak utalentowany. Już pan Dupont de Nemours był tego zdania, a pan Bory zgadza się z nim zupełnie. Mowa kruka składa się z dwudziestu pięciu wyrazów, jako to: kra, kre, kro, krug, krung, grass, gress, gross, gruss, gronuss, krac, krea, kroe, krua, groness, krao, kreo, kroon, krone, gronass, kraon, kreo, kroo, krono, gronoss. Za pomocą tych wyrazów, jak Bory utrzymuje, udzielają sobie kruki swych myśli: »Tu — w prawo — w lewo — naprzód — stój — żréć — strzeż się — zbrojny człowiek — zimno — ciepło — gorąco — kocham cię — ja także i t. d.« Arystofan wynalazł dla żartu mowę ptaków; ale Bory de St. Vincent utrzymuje tę rzecz jako prawdę!

Piérwiastkowe plemiona w Europie obliczono w sposób następujący: Niemiecka krew, czysta i mieszana: Niemcy, Szwecyja, Danija, Norwegija, Islandyja, Holandyja, Anglija, część Szkocyi i Irlandyi, 77 milijonów. Celtyjska krew, czysta i miészana: Hiszpanija, Francyja, Włochy, Dalmacyja, część Irlandyi, Walii i Szkocyi, 64 milijonów. Sławiańska krew, czysta i miészana: Rossyja, Polska, część Turcyi europejskéj, Czechy, Morawia i Ziemia Siedmiogrodzka 54 milijonów. Finy i Semojedy: 3 milijony. Madiary: 9 milijonów. Turcy: 4 milijony. Żydy: 2 milijony. W ogóle 213 milijonów.

Zaciąg wojska w Francyi. Od roku 1791 aż włącznie do 1842, zaciągnięto w Francyi do wojskowéj służby 14,012,000 ludzi, któráto ilość na różne rządy téj epoki podzielona jest w sposób następujący: Za dawnéj monarchii od r. 1791 do 1792 zaciągnięto 1,270,000 ludzi; a podczas zgromadzenia narodowego dnia 8go marca 1793 do 22go sierpnia tegoż samego roku nie mniéj jak 5,992,000. Za czasów dyrektoryjatu od roku 1798 do 1799 ilość zaciągnionych wynosiła 860,000, wszelako podczas konzulatu od 12. listopada 1799 do 24go marca 1804 tylko 443,000 ludzi. Za cesarstwa od 5go sierpnia 1804 do 1814 zaciągnięto 3,865,000, za restauracyi od roku 1818 aż do miesiąca lipca 1830 tylko 622,000, a od r. 1830 do teraz 960,000 ludzi, tak, iż od roku 1791 aż do teraz rok rocznie w przecięciu 300,000 ludzi do służby wojskowéj wstępowało.

Paryż liczy obecnie 60 rogatek; ale wskutek otoczenia Paryża wałem, pozostanie tylko 35 otwartych, które zwodzonémi mostami zaopatrzone będą. Warownie pojedyncze około tego miasta, wznoszą się nierównie sporzéj niż mury.

Fałszowanie monety. W Londynie posunięto oszukaństwo do tego stopnia, że wydrążano *souveraindory*, próżne miejsca zaś zapełniano ołowiem i tym sposobem fałszowano je. Fałszerze używają na to bardzo misternego narzędzia, które od brzegu monety aż do środka jéj sięga; okrawki przechowują bardzo starannie, a brzeg okrywają złotą blaszką tak zręcznie, że nawet najwprawniejsze oko rozeznać jéj nie może. Tym sposobem *souveraindor*, który miał wartość dwadzieścia szylingow, na siedmnaście spada, w takimże samym stosunku i pół *souveraindor* wartość swoję traci.

Dla zapobieżenia dalszemu oszukaństwu, postanowiono w Anglii poprzetapiać wszystkie złote monety. Działanie to, kosztujące ogromne sumy, rozpoczęto dnia 15go lutego po wynalezieniu sposobu, którym wszelkiemu fałszowaniu monety albo całkiem zapobiédz, albo przynajmniéj oszukaństwo łatwo rozeznać będzie można.

Nowy gatunek powozu. Do Bordeaux przybył niedawno powóz, zrobiony całkiem z blachy żelaznéj. Zadnie koła są poczęści zakryte, a w wnętrzu powozu jest bardzo piękny pokój z łóżkiem, alkową, cztérma krzesel, sekretarzykiem, stolikiem do grania i biufetem na wino i potrawy. Światło wpada przez ośm pięknych, zaluzjami zaopatrzonych okien.

Pałac doży w Wenecyi. Najważniejszym gmachem w Wenecyi jest bezprzecznie pałac doży, nietylko jako największy i najpiękniejszy, ale nawet dla wielu pamiątek widzenia godny. Przez przeciąg kilku set lat był on rezydencyją najpiérwszego rządcy, i środkowym punktem weneckiéj machiny państwa. Wewnątrz tych murów obracały się te sztuczne koła, które tak ważny wpływ na historyczny tok stosunków południowéj Europy wywiérały; z tąd wychodziły wielkie czyny tego morskiego państwa, które jak wzniosłe pienia minionych wieków nad czas się unosząc, na okresy go dzielą i na wiekopomną liczbę lat wskazują. Z każdego kąta i za każdym krokiem przychodnia, występuje Klio i grzmi w puzan o dziełach wielkich. Na czole tego pałacu wyczytasz wszystko, co się w jego łonie ukrywa; gmach ten wznosi się w ponuréj powadze przy cichéj, rozkosznéj *Piazecie*. Obadwa dolne oddziały na dwóch wyższych oparte (z których się główna fasada składa), formują dwa rzędy kolumn, za któremi są szerokie kurytarze. Na samym środku fasady jest obraz Maryi Panny; zdaje się on być dla tego umieszczony w tém miejscu, by pojednać styl maurytański z chrześcijańskim. Wreszcie gruby zacień w obudwu otwartych kurytarzach, do których się przecież jasne promienie światła przedziérają, okazuje już zewnątrz, jaki stosunek zachodzi między tém, co tajemnicze i niepewne, a tém, co pewne, czysto-historyczne i jak słońce jasne. — Wzór do tego gmachu znaleźli Wenecyjanie bez wątpienia na Wschodzie; przywieźli go do ojczyzny, jako znak zwycięztw, jako pomnik onych sławnych czasów, w których się Krzyżacy na weneckich okrętach przez morze przeprawiali. Byłoto zaiste chlubne czasy, dla Wenecyi niezmiernie ważne! — Wszedłszy główną bramą pałacu doży na obszérny dziedziniec, zaraz spostrzeżesz zupełnie inną architekturę. Są tam także kolumny i otwarte kurytarze, ale słupy są wyższe i smuklejsze, a łuki zaokrąglone; wszędzie widzisz styl lekszy, powabniejszy, bardziéj do południowo-europejskiego zbliżony. Po prawéj ręce prowadzą wschody; sąto jedne z tych szerokich, wygodnych wschodów marmurowych, jakie często we Włoszech napotkać można i które tam wschodami olbrzymiémi zowią. Na najwyższym ich stopniu przedstawiano ludowi obranych dożów i wkładano na nich kapelusz książęcy. — Wyszedłszy na te olbrzymie wschody i udawszy się szeroką galeryją po prawéj ręce, spostrzeżesz zaraz po lewéj stronie inne wschody, które dla grubo pozłacanego sklepienia, złotémi nazwano. Te wschody prowadzą na górne piętro gmachu. Tu jest jedna z najsławniejszych sal, to jest sala biblijoteczna, gdzie za czasów rzeczy-pospolitéj wielka rada się zgromadzała. Ujrzysz tam na wszystkich cztérech ścianach umieszczone jeden obok drugiego wizerunki dożów weneckich, niektórzy z nich mają dzielne rysy twarzy, w zmarszczkach czoła swego zdają się ukrywać wielkie plany, ale jest tam i niejedno uśmiéchające się, przyjemne oblicze, na którego widok razemby z Learem powiedzieć można: »Jako, i ta szlachetna, szronem ubielona głowa, wzruszyć się nie zdołała!« Zaiste, arystokracyja wenecka nie znała litości. Doża musiał dźwigać ciężar klątwy za wszystkie krwawe czyny, których w ciemną noc dokonano! Pomiędzy wizerunkami wiszą także inne malowidła, przedstawiające najważniejsze wypadki z dziejów weneckich, przez najpiérwszych mistrzów weneckiéj szkoły malowane. Jeden z nich zwrócił najszczególniéj moję uwagę, byłto wielki obraz pędzla Zukkarego, przedstawiający zejście się Papieża Aleksandra III. z Fryderykiem Barbarossą w Wenecyi. Drugi przedmiot zwrócił także w wysokim stopniu moję uwagę. Wyszedłszy na złote wschody, ujrzysz po prawéj ręce mały otwór w murze, który aż do komnaty wchodzi, jestto tak zwana lwia paszczęka, przeznaczona do przyjmowania tajemnych zaskarżeń, które potem inkwizycyja państwa rozpoznawała. Zważywszy zniedołężnienie, w którym arystokracyja wenecka od ośmnastego wieku zostawała, i pomnąc oraz: że bojaźń zawsze z słabością jest połączona, łatwo sobie wyobrazić można, do jak okropnych skutków takowe skryte oskarzenia niéraz doprowadzić musiały!

Przestroga. W Chenaj we Francyi wydarzył się niedawno straszny przypadek. Żona tamtejszego pocztmistrza, spała obok dwóch córeczek leżących w kołysce. Jedno z tych dzieci, chore, zaczęło w nocy płakać i obudziło ją ze snu. Matka wzięła zapałkę, i zażegłszy świécę, cisnęła zapałkę na ziemię. Gdy się dziecię uspokoiło, zgasiła świécę i zasnęła. Lecz wkrótce budzi ją znowu krzyk przeraźliwy; od palącéj się zapałki zajęły się firanki u łóżka. Z przestrachem spostrzegła nieszczęśliwa matka, że kołyskę z dziećmi ogień ogarnął. W okamgnieniu rzuca się w płomienie, by wybawić od śmierci dzieci. Lecz ogień wzmógł się już tak dalece, że pomimo natężeń nie może się dostać do dzieci, chociaż słyszy ich jęki. Kilkakrotnie usiłuje z nadzwyczajną odwagą przebić się przez płomienie, lecz każdą razą cofnąć się musi. Nareszcie przybyli na ratunek sąsiedzi, którzy ją przemocą wyprowadzili z pokoju. Płomień ogarnął już powałę i wkrótce cały dom stanął w ogniu. Pocztmistrz sam nie był w domu; gdy przybył z-rana, ujrzał swój dóm obrócony w perzynę, nieżywe od płomieni popalone dzieci, a nad niémi rozpaczającą i od ognia boleśnie zranioną matkę!

Nagroda poczciwości. Jeden z roznosicieli dzienników paryzkich znalazł na ulicy Taitbout pugilares, w którym było 2000 franków. Na brzegu tegoż pugilaresu, wyszyte było nazwisko bankiera. Znalazca udaje się bez zwłoki do jego hotelu, i wszedłszy do pokoju rzekł: »Oto znalazłem pugilares, który zapewne jest własnością wpana!« — »Nie inaczéj«, odrzekł bankier, »dziękuję, powinno w nim być 2000 franków.« — »Oto są.« — »Masz wpan majątek?« — »Żadnego!« — »Kiedy tak, więc go nigdy mieć nie będziesz.« Ta nauka była całą nagrodą za znalezienie dwóch tysięcy franków!

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.